

KSIĘGA PAMIĄTKOWA WIELKIEJ WOJNY!

Dzieło to, wydane pod skromną nazwą **Kalendarza „Nowości Ilustrowanych” na rok 1916**, zawiera ilustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski. Oprócz opracowanej systematycznie historii wydarzeń wojennych (wraz z chronologią), poszczególne działy „Kalendarza” dają tak w opisach, jak i w fotografiach, wyczerpujący obraz zniszczenia w Polsce, polskiego tułactwa wojennego i działalności bojowej Legionów.

Cena tego pamiątkowego wydawnictwa, które powinno znaleźć się w każdym domu polskim, wynosi:

1 kor. 50 h. za egzemplarz broszurowany, **2 kor.** za egzemplarz oprawny i **3 kor.** za egzemplarz w płóciennnej, ozdobnej oprawie.

Kronika tygodniowa.

Ostatnia kronika, którą pozwoliłbym sobie nazwać słodką, nie dlatego, iżby taką miała być rzeczywiście, ale ponieważ zajmowałem się przeważnie kartami cukrowymi, znalazła też należyty odzwiek i w szerokich kołach Czytelników, którzy pozbawieni wszelakich słodczy, musieli mi chyba przyznać rację. Zwłaszcza kawalerowie są mi bezgranicznie wdzięczni, iż wziąłem ich w obronę i podobno przygotowują dla mnie adres dziękczynny oraz mają mnie zamiar zamianować członkiem honorowym Towarzystwa opieki nad starymi kawalerami, skoro czynnym, jako mąż Weronisi, być nie mogę. Natomiast obrazili się na mnie cukiernicy i kawiarnie, uważając, że działam na ich niekorzyść. Poznałem to z okoliczności, iż onegdaj do szklanki herbaty podano mi tylko dwa kawałeczki cukru, tłumacząc się, że tak nakazuje najnowszy reskrypt magistratu, wprowadzający oszczędności w spożywaniu cukrowych słodczy.

Ale ja i tak nic sobie z tego nie robię, dowiedziałem się bowiem od mego domowego lekarza, że jestem chory na cukrzycę, wobec czego cukru używać mi nie wolno, natomiast mogę słodzić sobie życie, kawę i herbatę sacharyną. Zapomniałem tylko zapytać, czy i słodczyce mażeńskiego poźwia są dla mnie owocem zakazanym. Choć, co prawda, niema się i o co pytać, gdyż człek niczego nowego się nie dowie. Niestety...

W ten sam dzień, w którym słodziłem ostatnią kronikę, otrzymałem z Berna (na Morawach) pakiet rekomendowany, adresowany do pana kronikarza *Nowości ilustrowanych*. W pierwszej chwili chciałem go zaraz otworzyć, panie przecież z administracji naszej zwróciły moją uwagę, że może tam kryje się maszyna piekielna, torpeda lub łódź podwodna, gotowa do strzału... Przyznałem im rację, zwłaszcza, że swojego czasu otrzymałem z Berna właśnie ofertę miłosną, a potem paczkę tytoniu za czterdzieści cztery halerze, zbyt zaś mało na to reagowałem. Wobec tego, przy zachowaniu wszelkich ostrożności, pakiet otworzo i pokazało się, że zawiera w sobie... słodką tajemnicę, to jest dwa kawałki ciasta, wewnątrz nadzianego konfiturą, czyli tak zwane „buchty”. Zważywszy, że były one, dzięki znanemu u nas pospiechowi pocztowemu, już zupełnie zeschnięte (a ja zębów nie mam, na wprawienie zaś sztucznych na razie mnie nie stać), dalej, że przechodząc cenzurę zostały należyte wygniecione, czy przypadkiem nie zawierają czegoś podejrzanego, a wreszcie z powodu, iż zrobione były z mąki czysto pszennej, a takiej obecnie używać u nas nie wolno, nie powędrowały, jak były powinny, do mojego żołądka, znalazły się natomiast wraz z pudełkiem na szafie. Ilekroć zwrócę oczy w tę stronę, przypomina mi się owa zacna niewiasta z Berna,

której uczuciami wzgardziłem, a ona przecież tak dba o mnie i tak chciałyby mi dogodzić.

Ale i ja mam serce, bijące wprawdzie dość nie regularnie, ale w każdym razie jeszcze jako tako, skoro to wystarcza na mą własną potrzebę, chciałbym się więc czemś odwdziżyć, bodaj jakim wzniosłym poematem na Jej cześć. Niestety, nie wiem, czy Ona jest młoda, czy stara, ładna, czy brzydka, choć bowiem sama się chwali, że „brzydka nie jest”, nie uwierzę, dopóki, jak święty Tomasz, fotografii i to z urzędowo stwierdzoną tożsamością nie zobaczę. Skomponowanie zaś panegiriku nie przyszkolby mi trudno, z dawnych bowiem lat, kiedy to byłem jeszcze bardzo młody i kochliwy, mam obfity zapas tego rodzaju utworów na cześć mężatek, rozwódek, wdów i panien, teraz więc trzebaby tylko jeden z nich odpowiednio przykroić i wszystko byłoby w porządku.

Gdybym był bodaj starym kawalerem i miał kanarkę, karmiłbym go tem ciastem, a on śpiewałby mi o Tej, która mnie tak kocha... Aż mi się ciepło robi w okolicy serca, gdy pomyślę, że przecież nie jestem widocznie jeszcze takim niedołągą, jak mi to Weronisia codziennie powtarza i to tak przekonująco, że musiałem sam w to uwierzyć!

Dodam nawiasem, że obawiałem się, czy te buchty nie są zatrute, bo i to nie jest wykluczone. Znajomy chemik, którego o to pytałem, orzekł, że na oko nie wyglądają wcale podejrzanie, najlepszy zaś sposób taniego przekonania się o tem, zjeść je. Jeśli potem umrę w boleściach, będę wiedział, że były zatrute ręką zawiedzionej niewiasty... Ale ja boję się ryzykować swoje drogie życie. Ileż to też kapalioby na ziemię na wypadek mego zgonu, wilgoci zaś mamy i bez tego aż za dużo, gdyż teraz prawie codzień deszcz pada, podobno z rozporządzenia magistratu, by Zakładowi czyszczenia miasta oszczędzić kłopotu kropienia ulic i placów.

Bardzo więc żałuję, iż także *via* żołądek nie zdobędzie owa berneńska niewiasta mego serca, co jednak nie wyklucza wcale, iż jestem jej wdzięczny i że dalsze przesyłki przyjmę z ochotą. Jeden z mych znajomych, gdy mu o tem opowiedział, zauważył:

— Odpisz, że pierwszy prezent, jako bardziej wartościowy, więcej cię ucieszył. Choć sam tytoniu nie palisz, możesz mi go ofiarować, a ja w twem zastępstwie będę na Jej cześć puszczał wonne dymki! Ja jednak jestem ostrożny, więc, ponieważ mój znajomy jest adwokatem, pytam:

— A ile mnie to będzie kosztować?

— W danym wypadku zastąpię pana zupełnie bezinteresownie... — odparł z miną dobrodzieja, a ta jego wspaniałomyślność tak mnie za serce chwyciła, iż od razu zmieniłem zdanie, jakie miałem o adwokatach, zwłaszcza teraz, gdy moratorium już się właściwie skończyło, a oni zaczynają nam wlażyć na pięty.

Zupełnie inaczej odnosi się do mnie inna niewiasta, Krakowianka, oburzona, iż w kronice z dnia 12 lutego wyraziłem wątpliwość co do słodczy pocałunków kobiety, która już czterdziestkę przekroczyła, zwłaszcza, że, jak utrzymuje, Sacher Masoch był innego zdania.

Cóż ja na to poradzę, że Sacher Masoch miał inne upodobania, niż ja? Ja tam, powiem prawdę, wolę stanowczo dostać całusa od dwu dwudziestoletnich, niż od jednej czterdziestolatki, choć przypuszczam, że ta może całuje i namiętniej, bojąc się „a może to już ostatni raz w życiu?”... Zresztą, choć nazwisko Autorki listu zmienione, poznałem z charakteru pisma, że kryje się w ten sposób jedna z naszych współpracowniczek i to do tego męzka, a ja *primo* boję się kobiet piszących, a *secundo* nie chciałbym wejść w bliższą znajomość z laską jej małżonką, który nie wiem, jak zapatrywałby się na kwestję: „nieprzeparłej chęci ucałowania naszego dzielnego kronikarza przez jego własną, rodzoną żonę!”... Br! Aż mi się słabo robi na samo wspomnienie. Takiego całusa nie chcę ani za pieniądze, ani za darmo!

Ale i na tem jeszcze nie koniec! Klina zabił mi w głowę trzeci list, jaki znalazł się na mem biurku. Pewien pan ze Lwowa, nasz prenumerator, narzeka, że *Nowości ilustrowane*, które wysyłamy na Węgry do jego żony, dochodzą bardzo nieregularnie, prosi, by Redakcja kwestję pocztową raczyła wziąć w swoją opiekę, bo obok chlebowej, mąkowej, cukrowej i t. d., które z łamów dzienników nie schodzą (bez skutku) i ta nie mniej nas boli obecnie, kończy zaś: „Jeżeli prośba moja wysłuchana nie będzie ze skutkiem, to... napiszę list otwarty do... Pani Weronisi, a wtedy biada!”...

Łaskawy Panie! Administracja nasza wysyła najregularniej numery wszystkim. Odbiorcom, co jednak dzieje się z nimi na pocztach, tego my już nie wiemy. W tym wypadku nawet Weronisia nic nie

pomoże! Stanowczo przecenił Pan jej potęgę, bo tutaj absolutnie.. nie da rady! Ze numery giną, to prawda, świadczą o tem ciągle reklamacje, wina jednak leży nie po naszej stronie, gdyż od nas wyszły, dokąd jednak zaszły, to już tajemnica urzędowa c. k. Zarządu pocztowego, choć i ten, przyznać mu trzeba, dokłada wszelkich starań, by kres położyć niewłaściwościom i pociąga winnych do odpowiedzialności. Gdyby Weronisia była dyrektorką galicyjskich poczt i telegrafów, list otwarty do niej mógłby odnieść skutek, na razie jeszcze równoprawnienie obu pici tak daleko nie zaszło. Wyrzuciłby męczenników z tramwajów i różnych urzędów, na szczyt przecież drabiny hierarchicznej dotąd się im wdrapać nie udało! Choć, nawiasem mówiąc, nie miałbym nic przeciw temu, gdyby moja zacna połowica objęła tego rodzaju urząd. To osłodziłoby mi gorzką dolę lepiej, niż nawet podwójna karta cukrowa.

Dzięki tym listom na sprawy bieżące zbyt mi mało miejsca pozostało, ze względu zaś na trwający ciągle wielki post miałem zamiar nastroić lutnię kronikarską na odpowiednio smutny ton i opisać kłopoty, jakie mamy obecnie z kawą, solą, tytoniem i tłuszczami. Zarządzono też spis wełny i worków, gdy te ostatnie zabiorą, w co nasi kamienicznicy i przemysłowcy będą ładować złupione z nas korony?

Trafiki w ostatnim czasie były w formalnem obłożeniu, każdy chciał zrobić „bodaj mały zapasik na czarną godzinę”, czyli, innymi słowy, powtórzyło się to samo, co było tydzień temu z cukrem. W każdej trafice kupowało się bodaj jedną paczusie, bo cóż to może obchodzić, choć dla drugich braknie? Gnieciono się, wymyślano sobie wzajemnie, trafikanci i trafikantki ochrypnięci i ochrypnięte, słowem... Sodoma i Gomora. Do tego przyłączył się i brak zapalek... Zdobyłeś z trudem i z narażeniem swych zębów i nagniotków paczkę tak zwanego tytoniu, przekonujesz się, że nie masz czem zapalić skróconego papierosa...

To okropne! — jak powiada jeden z mych przyjaciół.

Wobec tej opresji, w jakiej znaleźli się trafikanci, zawiązał się między nimi komitet, który ma się postarać, zwłaszcza, że dotąd nie mamy ani jednego świętego z tego fachu, by któregoś z nich kanonizowano, jako męczennika. Na kogo wybór padnie, dotąd nie wiemy, w każdym razie kandydat musi otrzymać na to zezwolenie c. k. Dyrekcyi Skarbu i Zarządu c. k. monopolu tytoniowego.

Skoro tak się ludzie ubiegają o rozmaite rzeczy do życia codziennego potrzebne i niepotrzebne, powiedzieli sobie handlarze soli: „A cóż to, czy my mamy być gorsi?”... I dalejże rozgłaszać, że kopalnie wielkie zachorowały na cholere, a w Bochni wykopano razem ze solą całą kolonię bakterii tyfusowych, wobec czego soli nie będzie, kto zaś chce sobie posolić i popieprzyć, niech się spieszy, ale też niech płaci więcej, bo dostaje tylko „z łaski”.

I uwierzył pocziwy narodek i na odmianę zaczął się cisnąć do sklepów ze solą, nie chcąc ani słyszeć o tem, że to tylko wymysł spekulantów. Tych się powinno wziąć w szczególniejszą opiekę, obedrzeć żywcem ze skóry, potem posolić dobrze ich własną solą, wreszcie wystawić na słońce, aby poczernieli. Gdyby tak postąpić bodaj z jednym, inni straciliby ochotę do tak niesmacznych figlów!

O ile więc w ubiegłym tygodniu każdy chciał koniecznie, aby mu było słodko, o tyle w bieżącym zmienił się gust, każdy węszy za solą i szczęśliwym się czuje, jeśli zdobył choć funt. Ciekawym jestem, na co przyjdzie kolej w przyszłym tygodniu. Zdaje mi się, że ze względu na zbliżające się święta Wielkanocne, kiedy to człek chciałby na swym stole widzieć bodaj kawałek świńskiego cięcia pod jakąkolwiek postacią, „braknie” i to bardzo nagle wieprzowiny. Coś o tem wspominają już półgębkiem rzeźnicy, a sygnalizowany przez gazety brak tłuszczów jest może objawem zwiastunowym. Teraz ciężkie czasy, bez kielbasy i szynki, które już teraz kupuje się prawie na wagę złota, jakoś się obejdzimy. Tego rodzaju przysmaki zostawimy sobie na lepsze, powojenne czasy, kiedy nie będą nas prześladować żadne ewakuacje, aprowizacje, karty chlebowe, cukrowe i t. d.

Najgorzej jednak, że brakło mi miejsca na nader ważny referat, mianowicie na omówienie aktualnej sprawy, jaki związek może mieć wojna z modami. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze, następną kronikę, o ile nie zapomnę, rozpocznę od tego tematu.

Proszę więc o łaskawą cierpliwość.

